

Rozmowy ze Stalinem

Nr 27/7.08.81 r.

NIEZALEŻNE SŁOWO

Patrząc wstecz wydaje mi się, że ci dwaj — Mołotow ze swym relatywizmem, ze swą potrzebą szczegółowej codziennej rutyny i Stalin, ze swym fanatycznym dogmatyzmem a jednocześnie z szerszymi horyzontami i popędem do szukania dalszych, przyszłych możliwości idealnie uzupełniali się wzajemnie. Mołotow, chociaż bezsilny bez przewodnictwa Stalina, był pod wielu względami Stalinowi nieodzowny. Chociaż obaj nie znali skrupułów w doborze metod, to jednak zdaje mi się że Stalin dobiegał te metody starannie i dostosowywał je do okoliczności, podczas gdy Mołotow patrzył na nie z góry jako na przypadkowe i nieważne. Twierdzę, że nie tylko podjudzał on Stalina do wielu rzeczy, lecz podtrzymywał go także i rozpraszał jego wątpliwości. I chociaż Stalinowi, bardziej obrotowemu i przenikliwemu, przypadła główna rola w przeobrażeniu zacofanej Rosji w nowoczesną przemysłową potęgę imperialną, błędem byłoby nie doceniać roli Mołotowa, zwłaszcza jako faktycznego wykonawcy.

Mołotow nawet fizycznie wydawał się predestynowany do takiej roli: był dośladny, rozważny, spokojny i uparty. Pił więcej niż Stalin, ale jego toasty były krótsze i obliczone na wywołanie konkretnego efektu politycznego. Jego osobiste życie również było nieciekawe, a gdy w rok później spotkałem jego żonę, skromną i miłą kobietę, odniosłem wrażenie, że i każda inna mogłaby służyć jego regularnym, nieodzownym funkcjom.

Rozmowa ze Stalinem rozpoczęła się od jego podnieconych pytań co do dalszych losów jugosłowiańskiego Naczelnego Dowództwa i podległych mu oddziałów. „Wymrą z głodu!” wykrzykiwał.

Usiłowałem udowodnić mu, że to się stać nie może.

— A czemuż nie? — ciągnął dalej. — Ileż to razy żołnierzy zmógł głód. Głód jest strasznym wrogiem każdej armii.

Wyjaśniłem mu: „Teren jest taki, że zawsze da się coś znaleźć do jedzenia. Byliśmy w znacznie gorszym położeniu, a przecież głód nas nie zmógł”. Udało mi się uspokoić go i upewnić.

Przeszedł wtedy do możliwości przestania pomocy. Front sowiecki był wciąż zbyt odległy, by pozwolić myśliwcom na eskortowanie transportów. W pewnym momencie Stalin wybuchnął zarzucając pilotom: „To tchórze — boją się latać za dnia! Tchórze, tchórze!”.

Mołotow, który znał całą sprawę, bronił pilotów: „Nie, to nie są tchórze. Daleko do tego. Po prostu myśliwce nie mają takiego zasięgu i transportowce byłyby zestrzelone przed osiągnięciem celów. Ponadto, ich pojemność jest nieznaczna. Muszą brać z sobą paliwo na drogę powrotną. To jedyna przyczyna, dla której muszą latać nocami i brać mały ładunek”.

Poparłem Mołotowa, bo wiedziałem, że piloci sowieccy zgłosili się na ochotnika do lotów dziennych, bez osłony myśliwcom, by przyjść z pomocą swym kolegom — żołnierzom w Jugosławii.

Z drugiej strony całkowicie zgadzałem się ze Stalinem, gdy nalegał, aby Tito — wobec poważnych i skomplikowanych okoliczności i zadań — znalazł sobie bardziej stałą kwaterę i uwolnił się od codziennej troski o bezpieczeństwo. Nie ma żadnej wątpliwości, że Stalin przekazał ten pogląd misji sowieckiej, gdyż właśnie w tym czasie nalegała ona, aby Tito zgodził się na ewakuację do Włoch, a stamtąd na wyspę Vis, gdzie pozostawałby aż do wkroczenia Czerwonej Armii do Jugosławii. Oczywiście Stalin nic nie mówił o tej ewakuacji, lecz taki plan musiał mu przychodzić na myśl.

Sprzymierzeńcy wyrazili już zgodę na utworzenie sowieckiej bazy lotniczej we Włoszech dla pomagania żołnierzom jugosłowiańskim. Stalin podkreślał konieczność natychmiastowego wysłania tam samolotów transportowych i uruchomienia samej bazy.

Widocznie zachęcony moim optymizmem co do ostatecznego wyniku bieżącej ofensywy niemieckiej przeciw Ticie, podjął sprawę naszych stosunków ze sprzymierzeńcami, zwłaszcza z Wielką Brytanią, co stanowiło — jak mi się nawet wtedy wydawało — główny powód spotkania ze mną.

Istotę jego sugestii stanowiła z jednej strony obawa, byśmy nie „nastraszyli” Anglików — przez co rozumiał, iż winniśmy unikać wszystkiego, co mogłoby w nich wzbudzić podejrzenie, iż w Jugosławii odbywa się rewolucja albo próba objęcia rządów przez komunistów. „Cóż to za pomysł te czerwone gwiazdy na czapkach? Nie środki są ważne, lecz cel, a wy — czerwone gwiazdy! Gwiazdy nie są potrzebne!” — krzyczał zganiowany Stalin.

Nie krył jednak, że jego gniew nie był zbyt wielki. Był to tylko wyrzut. Wyjaśniłem mu, iż porzucenie czerwonych gwiazd jest niepodobiestwem, stały się one tradycją i nabrały pewnego znaczenia dla naszych żołnierzy.

Nie zmieniając zdania, lecz i zbytnio nie nalegając, Stalin przeszedł do innego zagadnienia w stosunkach ze sprzymierzeńcami zachodnimi i powiedział: „Może myślicie, że zapomnieliśmy, kim są Anglicy i kim jest Churchill tylko dlatego że jesteśmy ich sprzymierzeńcami. Nic nie jest im miłsze, jak oszukiwać swych sprzymierzeńców. Podczas pierwszej wojny światowej stale oszukiwali Rosjan i Francuzów. A Churchill? Churchill to taki typ, że jeśli go nie przypilnujesz wyciągnie ci ostatnią kopiejkę z kieszeni. Tak jest, kopiejkę z kieszeni! Kopiejkę z kieszeni! A Roosevelt? Roosevelt jest inny. Wyciąga rękę tylko po grubsze pieniądze. Ale Churchill? Churchill — nawet po kopiejkę”.

Podkreślał wielokrotnie, że powinniśmy strzec się Intelligence Service i angielskiej obłudy, zwłaszcza jeśli chodzi o życie Tity. „To oni zabili generała Sikorskiego w samolocie, a potem zgrabnie zestrzelili samolot — żadnego dowodu, żadnych świadków”.

W toku spotkania Stalin raz po raz powtarzał te ostrzeżenia. Przekazałem je Ticie po moim powrocie. Prawdopodobnie odegrało to pewną rolę, gdyż zdecydował się on 21 września 1944 na konspiracyjną nocną ucieczkę z Vis do okupowanego przez Sowiety terytorium Rumunii.

Stalin przeszedł potem do stosunków z królewskim rządem jugosłowiańskim. Nowym mandatariszem królewskim był dr Iwan Szubaszicz, który przyrzekł uregulować stosunki z Titą i uznać Armię Wyzwolenia Ludowego jako główną siłę w walce przeciw wojskom okupacyjnym. Stalin przynaglał: „Nie odmawiajcie rozmów z Szubasziczem — pod żadnym pozorem nie wolno wam tego czynić. Nie atakujcie go od razu. Zobaczymy, czego chce. Mówcie z nim. Nie możecie być uznani prosto z mostu. Musi się znaleźć jakieś przejście. Winnicie mówić z Szubasziczem i zobaczyć, czy nie da się doprowadzić do kompromisu”.

Naleganie jego, choć zdecydowane, nie było kategoryczne. Przekazałem to Ticie i członkom Komitetu Centralnego. Zapewne odegrało to rolę w znanym porozumieniu Tito — Szubaszicz.

Stalin zaprosił nas potem na kolację. W przedśionku zatrzymaliśmy się przed mapą świata, na której Związek Sowiecki oznaczony był czerwonym kolorem, co sprawiło, iż bardziej rzucał się w oczy i wydawał się większy. Stalin wymachiwał ręką nad Związkiem Sowieckim i — nawiązując do tego, co niedawno powiedział przeciw Brytyjczykom i Amerykanom — krzyczał: „Oni nigdy nie pogodzą się z myślą, że tak wielka przestrzeń może być czerwona, nigdy, nigdy!”.

Zauważyłem, że na mapie obszar wokół Stalingradu zakreślony był od zachodu niebieskim ołówkiem. Widocznie Stalin zrobił to w toku bitwy stalingradzkiej. Dostrzegł on moje spojrzenie i miałem wrażenie, że sprawiło mu przyjemność, chociaż niczym nie zdradził swych uczuć.

Nie pamiętam z jakiego powodu powiedziałem: „Bez uprzemysłowienia, Związek Sowiecki nie mógłby się ocalić i prowadzić takiej wojny”.

Stalin odrzekł: „Właśnie o to pokłóciłem się z Trockim i Eucharinem”.

I to było wszystko — tu przed mapą — co kiedykolwiek posłyszałem z ust Stalina o tych jego przeciwnikach: pokłócili się!

W jadalni czekały już dwie czy trzy osoby z wysokich sfer sowieckich. Czekają stojąc, chociaż nie było tam nikogo z Politbiura, prócz Mołotowa. Nie pamiętam kto to był. W każdym razie milczeli i zachowywali się dyskretnie w ciągu całego wieczoru.

W pamiętnikach swych Churchill żywo opisuje zaimprovizowaną kolację ze Stalinem na Kremlu. Lecz tak się w ogóle odbywały kolacje u Stalina.

— W rozległej i niczym nie przyozdobionej, chociaż gustownej jadalni połowa stołu zastawiona była wszelkiego rodzaju żywnością na podgrzanych ciężkich, srebrnych półmiskach, oraz napojami, talerzami i innymi przyborami. Każdy obsługiwał się sam i siaład gdzie chciał wokół wolnej połowy stołu. Stalin nigdy nie siaład u szczytu stołu, natomiast zawsze na tym samym krześle — pierwszym na lewo od szczytu stołu.

Dobór pokarmów i napojów był ogromny — przeważały mięsa i ciężkie trunki. Lecz wszystko poza tym było proste i nieostentacyjne. Służba nie pokazywała się, chyba że Stalin zadzwonił, a jedyną po temu okazję dała moja prośba o piwo. Każdy jadł co lubił i ile chciał; tyle tylko, że raczej za dużo nas namawiano i wzywano do picia i że wznoszono zbyt wiele toastów.

Taki obiad trwał zwykle sześć lub więcej godzin — od dziesiątej wieczorem do czwartej lub piątej rano. Jadło się i piło powoli, przeskakując przy tym w rozmowie z tematu na temat, od opowiadań i anegdotek do najważniejszych politycznych a nawet filozoficznych tematów. Nieoficjalnie i faktycznie, znaczna część polityki sowieckiej kształtowała się na tych obiadach. Ponadto stanowiły one najczęstszą, najłatwiejszą rozrywkę i jedyny luksus w skądinąd monotonnym i ponurym życiu Stalina.

Współpracownicy Stalina byli najwidoczniej przyzwyczajeni do tego stylu pracy i życia — i spędzali noce obiadując ze Stalinem lub między sobą. Nie przychodzili do biur przed południem i zazwyczaj siedzieli w nich do późnego wieczora. Kompikowało to i utrudniało pracę wyższej administracji, która musiała się dostosowywać tak samo jak i korpus dyplomatyczny, o ile miał kontakt z członkami Politbiura.

Nie było żadnej ustalonej kolejności, według której członkowie Politbiura lub inni wysocy dygnitarze brali udział w tych obiadach. Zazwyczaj byli to ci, którzy mieli jakiś związek ze sprawami, sprowadzającymi gości lub z bieżącymi zagadnieniami. Najwidoczniej krąg był jednak wąski — być zaproszonym na taki obiad było szczególnym wyróżnieniem. Tylko Mołotow był zawsze obecny; twierdzą, że tak było nie tylko dlatego, że był komisarzem to jest ministrem spraw zagranicznych, lecz także i dlatego, że był faktycznie zastępcą Stalina.

Na tych obiadach przywódcy sowiecy byli z sobą za pan brat, na stopie wzajemnej poufałości. Każdy opowiadał nowiny z zakresu swej jurysdykcji, kogo tego dnia spotkał i jakie miał plany. Zbyt kowna zastawa i znaczne, chociaż nie nadmierne ilości alkoholu ożywiały umysły i wzmacniały atmosferę serdeczności i poufałości. Nieświadomy gość nie dostrzegłby żadnej różnicy pomiędzy Stalinem a resztą. A jednak ta różnica istniała. Opinia Stalina notowana była starannie. Nikt mu się zbytnio nie przeciwstawiał. Wszystko to przypominało raczej patriarchalną rodzinę, z dziwakiem na czele, którego słabości niepokoiły domowników.

Stalin jadł dużo, zbyt wiele nawet na możliwości znacznie roślejszego mężczyzny. Przede wszystkim nakładał sobie mięso, co świadczyło o jego góralskim pochodzeniu. Lubił również specjalność kuchni rosyjskiej, lecz nie zauważyłem, by miał szczególnie upodobanie do jakiegś potrawy. Pił umiarkowanie, najczęściej mieszając w małych szklaneczkach czerwone wino i wódkę. Nigdy nie zauważyłem u niego żadnych oznak upicia się, natomiast nie mógłbym tego samego powiedzieć o Mołotowie, a szczególnie o Berii, który ściśle mówiąc był pijakiem. Ponieważ wszyscy przywódcy sowieccy objadali się nadmiernie na tych ucztach, w ciągu dnia odżywiali się skromnie i nieregularnie; wielu z nich stosowało przez jeden dzień w tygodniu dietę złożoną z owoców i soków, jako odtrutkę dla organizmu.

Na tych obiadach rozstrzygał się los rozległej ziemi rosyjskiej, nowonabytych terytoriów, a w znacznym stopniu także i ludzkości. Jeśli nawet obiady nie natchnęły tych duchowych twórców — „inżynierów ludzkich dusz” — do wielkich czynów, wiele takich czynów zostało tu prawdopodobnie pogrzebanych na zawsze.

Mimo to nigdy nie słyszałem, by rozmawiano tu o wewnątrzpartyjnej opozycji lub o jej zwalczaniu. Najwidoczniej należało to wyłącznie do jurysdykcji Stalina i tajnej policji; przywódcy sowieccy też są ludźmi, więc chętnie zapominali o sumieniu, tym bardziej, że wszelki apel do sumienia byłby niebezpieczny przede wszystkim dla nich samych.

Wymienie tu tylko to, co wydało mi się na tym spotkaniu znamienne wśród szybkiego przerzucania się z tematu na temat.

Powołując się na dawniejsze węzły łączące południowych Słowian i Rosjan, powiedziałem: „Jednakże carowie rosyjscy nie rozumieli dążeń południowych Słowian — chodziło im o imperialistyczną ekspansję, a nam o odzyskanie wolności”.

Stalin zgodził się ze mną, lecz sformułował to inaczej: „Tak, carowie rosyjscy nie mieli horyzontów”.

Zainteresowanie się Stalina Jugosławią było odmienne od zainteresowania innych przywódców sowieckich. Nie obchodziły go poświęcenia i zniszczenie, a tylko sytuacja zaistniała wewnątrz kraju i rzeczywista siła ruchu powstańczego. Informacje te zdobywał nie poprzez zapytania, lecz w ciągu samej rozmowy.

W pewnej chwili wyraził zainteresowanie Albanią. „Co się tam naprawdę dzieje? Co to są za ludzie?”.

Wyjaśniłem: „W Albanii dzieje się prawie to samo, co w Jugosławii. Albańczycy są najstarszym ludem bałkańskim — starszym niż Słowianie, a nawet niż dawni Grecy”.

— Ale w jaki sposób osiedla ich otrzymały słowiańskie nazwy? — pytał Stalin. — Czy nie mają oni jakiegoś związku ze Słowianami?

I to wyjaśniłem. „W dawniejszych czasach doliny zamieszkiwali Słowianie, stąd słowiańskie nazwy miejscowości — a potem za tureckich czasów wypchnęli ich Albańczycy”.

Stalin mrugnął porozumiewawczo: „Spodziewałem się, że Albańczycy są bodaj trochę Słowianami”.

Opowiadając mu o okrutnym sposobie prowadzenia wojny w Jugosławii zazna-czyłem, że nie braliśmy Niemców do niewoli, gdyż oni także zabijali wszystkich naszych jeńców.

Stalin przerwał ze śmiechem: „Jeden z naszych żołnierzy prowadził dużą grupę Niemców i zabił po drodze wszystkich z wyjątkiem jednego. Gdy przybył do miejsca przeznaczenia, zapytano go: 'A gdzie wszyscy inni?' Wykonałem rozkazy naczelnego dowódcy, odpowiedział, 'zabić wszystkich co do jednego — to jest ten jeden’”.

W toku rozmowy zauważył o Niemcach: „To dziwni ludzie, jak owoce. Pamiętam z mego dzieciństwa: gdzie poszedł tryk, tam szła i reszta. Pamiętam także, gdy byłem w Niemczech przed rewolucją: grupa socjal-demokratów niemieckich spóźniła się na kongres, bo musiała czekać na potwierdzenie biletów czy coś w tym rodzaju. Czy byłoby to możliwe u Rosjan? Ktoś dobrze powiedział: 'w Niemczech nie może być rewolucji, bo trzeba byłoby deptać trawniki’”.

Pytał mnie także, jakie są serbskie słowa na określenie pewnych rzeczy. Oczywiście, uwidoczniło się wielkie podobieństwo pomiędzy rosyjskim i serbskim. „Nie ma żadnej wątpliwości: ten sam naród” — zawołał Stalin.

Były też anegdoty. Stalinowi podobala się zwłaszcza jedna, opowiedziana przeze mnie. „W rzadkiej chwili rozejmu Turek i Czarnogórzec rozmawiali ze sobą. Turek dziwił się, dlaczego Czarnogórzec nieustannie prowadzi wojnę. 'Dla rabunku', odpowiedział Czarnogórzec. 'Jesteśmy biedni i liczymy na łup. A wy o co walczyście? O honor i sławę', odpowiedział Turek. Na co Czarnogórzec odparł: 'Każdy walczy o to, czego nie ma’”. Stalin rycząc ze śmiechu skomentował: „To jest mądre: każdy walczy o to, czego nie ma”.

Mołotow śmiał się także, ale znowu oszczędnie i bezdźwięcznie. Nie potrafił on doprawdy ani innych ani siebie samego rozweselić.

Stalin wypyttywał się jakie czołowe osobistości spotkałem w Moskwie, a gdy wymieniłem Dimitrowa i Manuilewskiego, zauważył: „Dimitrow jest znacznie bardziej do rzeczy niż Manuilewski, znacznie bardziej do rzeczy”.

Powiedział przy tym na temat rozwiązania Kominternu: „Oni, na Zachodzie, są tak przebiegli, że nie pisnęli o tym ani słówka. A my jesteśmy tak uparci, że gdy

to uczynili, nie rozwiązaliśmy go wcale! Sytuacja z Kominternem stawała się coraz to bardziej nienormalna. Władysław Michajłowicz i ja łamaliśmy sobie głowę, co robić podczas gdy Komintern szedł swą własną drogą — i niezgoda rosła. Z Dimitrowem łatwo jest pracować, ale z innymi było trudniej. Co najważniejsze, zawsze było coś nienormalnego, coś nienaturalnego w samym istnieniu powszechnego forum komunistycznego w okresie, gdy każda partia komunistyczna winna była szukać wspólnego z całym narodem języka i walczyć w warunkach, panujących w jej własnym kraju”.

Podczas tego wieczoru nadeszły dwie depesze. Stalin dał mi obie do przeczytania.

Jedna donosiła, co Szubaszicz powiedział w amerykańskim Departamencie Stanu. Stanowisko Szubaszicza było następujące: Jugosłowianie nie mogą być przeciwnikami Związku Sowieckiego, ani też nie mogą uprawiać antyradyjskiej polityki, albowiem tradycje rusofilskie są wśród nich bardzo silne.

— Szubaszicz straszy Amerykanów. Ale dlaczego ich straszy? Tak, straszy ich! Ale dlaczego, dlaczego? — zauważył Stalin.

A potem, prawdopodobnie widząc moje zdumienie, dodał: „Oni nam kradną depesze, my zaś kradniemy im”.

Druga depesza była od Churchilla. Zawiadamiał, iż lądowanie we Francji zacznie się następnego dnia. Stalin zaczął drwić z depeszy. „Tak, będzie lądowanie, jeśli nie będzie mgły. Do tej pory zawsze coś stało na przeszkodzie. Podejrzewam, że jutro będzie coś innego. Możliwe, że natkną się na jakichś Niemców. Co będzie, jeśli natkną się na Niemców! Możliwe, że nie będzie wtedy lądowania, a tylko przyrzeczenia, jak zwykle”.

Chrzakając i postępując, Molotow zaczął wyjaśniać na swój sposób: „Nie, tym razem to będzie naprawdę”.

Miałem wrażenie, że Stalin naprawdę nie wątpił w lądowanie sprzymierzonych, lecz chciał je ośmieszyć, a zwłaszcza przyczyny poprzednich odroczeń.

Gdy reasumuję dziś ów wieczór, zdaje mi się, że mógłbym zakończyć wnioskiem, iż Stalin rozmyślnie straszył przywódców jugosłowiańskich, by osłabić węzły łączące ich z Zachodem. Jednocześnie usiłował podporządkować ich politykę swym interesom i swym stosunkom z państwami zachodnimi, przede wszystkim z Wielką Brytanią.

Dzięki zarówno ideologii jak metodom, doświadczeniu osobistemu i spuściznie dziejowej, Stalin uważał za pewne tylko to, co trzymał w garści. Każdy, kto znajdował się poza zasięgiem jego policji, był potencjalnym wrogiem. Wskutek wojny rewolucja jugosłowiańska wymknęła się spod jego kontroli, zaś wyłaniająca się spoza niej siła stawała się zbyt świadoma swego potencjału, by mógł jej zwyczajnie wydawać rozkazy. Zdawał sobie z tego wszystkiego sprawę, toteż aby ją sobie podporządkować, wyzykiwał antykapitalistyczne uprzedzenia przywódców jugosłowiańskich przeciwko państwu Zachodu. Próbował związać tych przywódców z sobą, a ich politykę podporządkować swojej.

Świat w którym żyli przywódcy sowieccy — a był to także i mój świat — powoli przybierał dla mnie nowy wygląd: straszliwa, nieustająca walka na wszystkich frontach. W rzeczywistości wszystko sprowadzało się do walki, zmieniały się tylko jej formy. Z walki tej tylko mocniejszy i zručniejszy wychodził z życiem. Pełen podziwu dla przywódców sowieckich, uległem teraz gwałtownemu entuzjazmowi dla niespożytej woli i czujności, która ich nie opuszczała ani na chwilę.

To był świat, w którym do wyboru stało tylko zwycięstwo albo śmierć.

To był Stalin — budowniczy nowego ustroju społecznego.

Rozstając się ze Stalinem, zapytałem go raz jeszcze, czy nie ma jakichś uwag w związku z pracą partii jugosłowiańskiej. Odpowiedział: „Nie, nie mam. Wy sami wiecie najlepiej, co trzeba robić”.

Po przybyciu na Nis, złożyłem sprawozdanie Tacie i innym członkom Komitetu Centralnego. Zreasumowałem ma podróż do Moskwy w ten sposób: Komintern faktycznie przestał istnieć. My, komuniści jugosłowiańscy, mamy samą dbać o swe sprawy. Musimy opierać się przede wszystkim na naszych własnych siłach.

Gdy odeszliśmy po owym obiedzie, Stalin wręczył mi dla Tity miecz — dar od Najwyższego Sowietu. Do tego wspaniałego i wzniosłego daru dodałem w drodze

powrotnej przez Kair mój własny skromny podarunek: szachy z kości słoniowej. Nie sądzę, by w tym kryła się jakaś symbolika. Wydaje mi się jednak, że już wtedy — choć stłumiony — istniał we mnie świat odmienny od świata Stalina.

Z jodłowego zagajnika wokół willi Stalina podnosiła się mgła i świt. Stalin i Mołotow, zmęczeni po jeszcze jednej nieprzespanej nocy, w drzwiach uściśnęli mi ręce. Samochód wiozł mnie w poranek, do nierozbudzonej jeszcze Moskwy, skąpanej w czerwcowej błękitnej mgiełce i w rosie. Powróciło uczucie, które miałem, gdy stanąłem na rosyjskiej ziemi: Świat, oglądany z tego kraju, ostatecznie nie jest tak wielki. I może nie jest on nie do zdobycia — gdy się ma Stalina, gdy się ma idee, o których się sądzi, że nareszcie odkrywają człowiekowi prawdę o społeczeństwie i o nim samym.

Było to piękne marzenie — pośród wojennej rzeczywistości. Nigdy nie przyszło mi nawet na myśl, by ustalić, co z tych dwóch bardziej było rzeczywiste, tak samo jak i dzisiaj nie umiałbym ustalić, co bardziej zawiodło w dotrzymaniu swych obietnic — marzenie czy rzeczywistość.

Ludzie żyją marzeniami i rzeczywistością.

W A T P L I W O Ś C I

1.

Moja druga podróż do Moskwy, a tym samym moje drugie spotkanie ze Stalinem prawdopodobnie nigdy by nie nastąpiło, gdybym nie padł ofiarą swej własnej szczerości.

Po dotarciu Czerwonej Armii do Jugosławii i oswobodzeniu Belgradu jesienią 1944 roku, zarówno poszczególni żołnierze jak i całe grupy żołnierzy z Czerwonej Armii dokonały tylu poważnych napadów na obywateli i na żołnierzy armii jugosłowiańskiej, że dla nowego reżymu i dla partii komunistycznej powstał stąd problem polityczny.

Komuniści jugosłowiańscy idealizowali Czerwoną Armię. Sami rozprawiali się nielitościwie nawet z najdrobniejszą grabieżą i zbrodnią we własnych szeregach. Byli oszołomieni bardziej niż przeciętni ludzie, którym nabyte doświadczenie kazało od każdej armii oczekiwać grabieży i zbrodni. Problem zaistniał faktycznie. Co gorsze, nieprzyjaciele komunizmu wyzykiwali wybrki żołnierzy Czerwonej Armii w walce przeciw niestabilizowanemu reżymowi i w ogóle przeciw komunizmowi. Sprawę komplikował fakt, że dowódcy Czerwonej Armii byli głusi na skargi, co sprawiało wrażenie, że tolerują te wybrki.

Natychmiast po powrocie Tity z Rumunii do Belgradu — w owym czasie odwiedził on też Moskwę gdzie spotkał się ze Stalinem po raz pierwszy — trzeba było poruszyć tę sprawę.

Na zebraniu u Tity, w którym brałem udział razem z Kardelem i Rankowiczem — my czterej byliśmy najbardziej znanymi przywódcami partii jugosłowiańskiej — postanowiono przeprowadzić dyskusję z szefem misji sowieckiej, generałem Korniejewem. Aby uprzytomnić Korniejewowi powagę całej tej sprawy, postanowiono, że winien z nim rozmawiać nie tylko Tito, ale że winniśmy wziąć udział w spotkaniu także my trzej, a ponadto dwaj najwybitniejsi dowódcy jugosłowiańscy — generałowie Peko Dapczewicz i Kocza Popowicz.

Tito przedstawił problem Korniejewowi w sposób nadzwyczaj łagodny i uprzejmy. Tym bardziej zdumiewała szorstka i urażona reakcja tego ostatniego. Zaprosiliśmy Korniejewa jako towarzysza i komunistę, a on wykrzykiwał: „W imieniu rządu sowieckiego protestuję przeciw takim insynuacjom pod adresem Czerwonej Armii, która...”.

Wszystkie wysiłki, by go przekonać, były daremne. Nagle ujrzał on siebie w roli przedstawiciela wielkiego mocarstwa i „wyzwoleńczej” armii.

Wtedy powiedziałem: „Trzeba pamiętać, że nasi wrogowie posługują się tym argumentem przeciwko nam i porównują napaści żołnierzy Czerwonej Armii z zachowaniem się oficerów angielskich, którzy takich wybrków nie popełniają”.

Szczególnie na moje słowa Korniejew zareagował z całkowitym brakiem zrozumienia. „Jak najostrej protestuję przeciw znieważaniu Czerwonej Armii przez porównywanie jej z armiami krajów kapitalistycznych”.

Później dopiero władze jugosłowiańskie zebrały dane statystyczne o bezprawnych czynach żołnierzy Czerwonej Armii. Wedle skarg wniesionych przez obywateli, było 121 wypadków zgwałcenia, z czego 111 zgwałcenia połączonego z morderstwem oraz 1.204 wypadki napadów i rabunku — liczby wcale nie bez znaczenia, jeśli zważyć, że Czerwona Armia wkroczyła tylko do północno-zachodniego zakątka Jugosławii. Liczby te wskazują, dlaczego przywódcy jugosłowiańscy musieli rozpatrywać te zajścia jako problem polityczny, tym poważniejszy, że stał się on zagadnieniem walki wewnętrznej. Komuniści patrzyli na ten problem także jako na problem moralny: Czyżby taka miała być ta idealna i długo wyczekiwana Armia Czerwona?

Spotkanie z Korniejewem skończyło się bez wyników aczkolwiek zauważono później, iż dowódcy sowieccy surowiej reagują na samowolę swych żołnierzy. Gdy Korniejew wyszedł, niektórzy towarzysze czynili mi wymówki, jedni łagodnie a drudzy ostrzej, za to co powiedziałem. W gruncie rzeczy nigdy mi przez myśl nie przeszło porównywać Czerwonej Armii z Bytyjczykami — Wielka Brytania miała tylko misję w Belgradzie — stwierdziłem jedynie oczywiste fakty i przedstawiłem mój pogląd na problem polityczny, do czego sprowokował mnie brak zrozumienia i nieprzejednanie generała Korniejewa. Daleka na pewno była mi myśl o znieważeniu Czerwonej Armii, która w owym czasie była mi tak samo droga jak generałowi Korniejewowi. Z uwagi na zajmowane przeze mnie stanowisko nie mogłem jednak milczeć gdy gwałcono kobiety — zbrodnią, którą zawsze uważałem za jedną z najohydniejszych — i gdy obzucano naszych żołnierzy obelgami, a nasze mienie rabowano.

Moje słowa i kilka innych spraw było przyczyną pierwszego zadrażnienia pomiędzy przywódcami jugosłowiańskimi i sowieckimi. Miały później wyłonić się poważniejsze niż ta sprawa, ale właśnie te słowa miały być najczęściej przytaczane jako powód oburzenia sowieckich przywódców i ich przedstawicieli. Na marginesie zaznaczyć, że na pewno był to powód, dla którego rząd sowiecki nie nadał mi orderu Suworowa, gdy nim obdzielał niektórych innych członków jugosłowiańskiego Komitetu Centralnego. Dla podobnych powodów pominął również generała Peko Dapczewicza. To skłoniło Rankowicia i mnie do namówienia Tity, by dla przeciwwagi tego zlekceważenia odznaczył Dapczewicza orderem Jugosłowiańskiego Bohatera Narodowego. To także było jednym z powodów, dla których agenci sowieccy w Jugosławii zaczęli z początkiem 1945 roku szerzyć pogłoski o moim „trockizmie”. Sami jednak musieli zaprzestać tych oszczerstw nie tyle z racji bezsensowności obwinień, ile z racji dolepszenia się naszych stosunków.

Tym niemniej, z powodu mego oświadczenia, znalazłem się wkrótce niemal w odosobnieniu, nie dlatego by moi najbliżsi przyjaciele mnie potępiali — chociaż było i trochę surowych wymówek — albo by przywódcy sowieccy wyolbrzymiali i rozdmuchiwali całe zajście; głębszą przyczyną były me własne przeżycia wewnętrzne. To znaczy, stanąłem już wtedy przed dylematem, przed którym staje każdy komunista, który przyjął ideę komunistyczną z dobrą wolą i altruizmem. Prędzej czy później musi on skonfrontować zgodność pomiędzy ideą a praktyką przywódców partyjnych. W tym jednak wypadku nie chodziło o rozpiętość pomiędzy idealnym obrazem Czerwonej Armii a rzeczywistymi czynami jej żołnierzy; zdawałem sobie przecież sprawę, iż chociaż była to armia społeczeństwa „bezklasowego”, to jednak nie mogła „jeszcze” być tym wszystkim, czym być powinna i że musiały w niej wciąż tkwić „relikty przeszłości”. Mój dylemat stworzyła obojętna, by nie powiedzieć pobłażliwa, postawa przywódców sowieckich i dowódców sowieckich wobec zbrodni, odmowa ich rozpatrzenia i protesty, ilekroć zwracano im na to uwagę. Nasze intencje były dobre: ocalić reputację Czerwonej Armii i Związku Sowieckiego, reputację, budowaną w ciągu całych lat przez propagandę Komunistycznej Partii Jugosławii. A z czym spotykały się te nasze dobre intencje? Z arogancją i odmową, typową dla postawy wielkiego państwa wobec małego, silnego wobec słabego.

Wysiłki przedstawicieli sowieckich, by moimi słowami, podyktowanymi najlepszą intencją, uzasadnić własną arogancją i krytyczną postawę wobec kierownictwa jugosłowiańskiego szczególnie pogłębiały ten dylemat.

Co uniemożliwiało przywódcom sowieckim zrozumienie nas? Z jakiego powodu wyolbrzymiano i wypaczano znaczenie mych słów? Dlaczego przedstawiciele sowieccy wyzykiwali je w tej przekręconej formie dla swych politycznych celów — odmalowując przywódców jugosłowiańskich jako ludzi niewdzięcznych wobec Czerwonej Armii, która we właściwym momencie odegrała rzekomo główną rolę w oswobodzeniu stolicy Jugosławii i zainstalowała w niej przywódców jugosłowiańskich?

Na te pytania nie było odpowiedzi — i nie mogło jej być w owym czasie.

Jak wielu, wstrząśnięty byłem także innymi czynami przedstawicieli sowieckich. Na przykład, dowództwo sowieckie ogłosiło, iż przeznacza jako pomoc dla Belgradu dar w postaci dość dużej ilości pszenicy, ale okazało się, że w rzeczywistości była to pszenica, ściągnięta od jugosłowiańskich chłopów przez Niemców i zmagazynowana na obszarze Jugosławii. Dowództwo sowieckie uważało tę pszenicę — i nie tylko ją — po prostu za swój łup wojenny. Na dobitkę, agencji wywiadu sowieckiego werbowali masowo białych emigrantów rosyjskich, a nawet Jugosłowian; niektóre z tych osób wchodziły bezpośrednio w skład aparatu Komitetu Centralnego. Przeciwnemu i dlatego zatrudniono tych ludzi? Także na polu agitacji i propagandy, które pozostawało pod moim zarządem, odczuwało się dotkliwe tarcia z przedstawicielami sowieckimi. Prasa sowiecka systematycznie zniekształcała i pomniejszała walkę komunistów jugosłowiańskich, podczas gdy przedstawiciele sowieccy dążyli, początkowo ostrożnie, a potem coraz to jawniej, do podporządkowania propagandy jugosłowiańskiej potrzebom i wzorom sowieckim.

Pijaństwa przedstawicieli sowieckich, przybierające coraz to bardziej charakter istnych bachanali, na które usiłowali ściągnąć przywódców jugosłowiańskich, mogły tylko w moich oczach i w oczach wielu innych potwierdzić niezgodność pomiędzy sowieckimi ideałami a postępowaniem, pomiędzy etyką wyznawaną w słowach a niemoralnością w czynach.

Pierwsze zetknięcie się dwóch rewolucji i dwóch rządów, chociaż opartych na podobnych podstawach społecznych i ideologicznych, mogło doprowadzić tylko do zadrżnienia. Zachodziło to w ramach wyłączonej i zamkniętej ideologii, więc początkowo mogło mieć tylko aspekt dylematu moralnego oraz zmartwienia i żalu Jugosłowian, iż centrum prawdziwej wiary nie rozumiało dobrych intencji małej partii i ubogiego kraju.

Ponieważ reakcje ludzkie nie zawsze są świadome, nagle „odkryłem” nierozzerwalne więzy, łączące człowieka z przyrodą — powróciłem do wypraw myśliwskich mojej wczesnej młodości i zauważyłem naraz, że istnieje piękno poza partią i rewolucją.

Lecz gorycz dopiero się zaczynała.

2.

Zimą 1944—1945 wyjechała do Moskwy dość duża delegacja rządowa, w skład której wchodził Andriej Hebrang, członek Komitetu Centralnego i minister przemysłu, Arso Jownowicz, Szef Sztabu Generalnego i Mitra Mitrowicz, moja ówczesna żona. Niezależnie od reakcji politycznych, umiała ona także przekazywać mi czysto ludzkie reakcje przywódców sowieckich, na które byłem szczególnie wrażliwy.

Delegacja, zarówno każdy z jej członków osobno jak i zbiorowo, została obsypana gradem rekryminacji na temat ogólnej sytuacji w Jugosławii i niektórych przywódców jugosłowiańskich. Dygnitarze sowieccy zazwyczaj rozpoczynali od ścisłych faktów, a potem je wyolbrzymiali i uogólniali. Na dobitkę, szef delegacji, Hebrang, związał się ściśle z przedstawicielami sowieckimi, przedkładając im pisemne sprawozdania i zwalając nielaskę sowiecką na innych członków delegacji. Sądząc z posiadanych elementów, do takiego postępowania popychało Hebranga niezadowolenie z powodu usunięcia go ze stanowiska sekretarza partii komunistycznej na Chorwację, a jeszcze bardziej jego tchórzliwe zachowanie się w więzieniu — co się ujawniło dopiero później — zachowanie, które usiłował w ten sposób osłonić.